

ALEKSANDER SOCHACZEWSKI

# NA SYBERII

*(nowele politycznego zesańca)*

*część 2*

Opracował i wydał *Richard Schott*

Wyd: Dr. Demder, Berlin [1906]

Tłumaczyła z niemieckiego *Barbara Siebat*

na zlecenie Muzeum Historii Polskiego

Ruchu Rewolucyjnego

Warszawa 1983

# *Poszukiwacze złota z Krasnojarska*

## 1.

Każdego roku, gdy tylko zaczyna się zima i Jenisej niesie na swoich szerokich plecach pierwsze olbrzymie kry lodowe, które Angara nieprzerwanie znosi do leżącego na północy Morza Lodowego, w Krasnojarsku zaczyna się coś dziać.

Całe miasto upodobnia się do olbrzymiego jarmarku, na którym rozgrywa się gorączkowo życie. Ze wszystkich stron świata ściągają kupujący i sprzedający, aby w ciągu paru tygodni dobić interesów na cały rok. Napływały chmary robotników, którzy chcieli najmować się do ekspedycji wyruszających z Krasnojarska do miejsc, gdzie płucze się złoto, leżących w tundrze.

Setki sań wyposaża się w pierożki, peklowane mięso, smalec, masło, alkohol, cebulę, owies. Krótko mówiąc, ładowano całą żywność, jakiej potrzebują robotnicy stacjonujący długie miesiące w złotodajnych miejscach i wszyscy uczestnicy ekspedycji – oraz pasze, niezbędne dla zwierząt roboczych. Wszystko czekało w pogotowiu na ludzi, którzy zaraz po zamrożeniu Jeniseju wyruszą na północ. Jenisej bowiem o tej porze roku, kiedy pada gęsty śnieg i leży jego gruba pokrywa – okazuje się jedyną pewną drogą do tych dziewiczych terenów.

Cały dzień się handluje i pertraktuje, załadowuje i rozładowuje, nocą natomiast dzieją się niesamowite rzeczy. W karczmach mrowią się goście. W lepszych, bogatszych domach prywatnych urządza się spotkania i przyjęcia. Ojcowie, synowie, bracia, szwagrowie – wszyscy sposobią się do drogi na północ i Bóg raczy wiedzieć, czy się ich kiedyś jeszcze zobaczy. Je się, pije, tańczy, gra, bawi i płacze. Gwałtowne podenerwowanie udziela się wszystkim.

Jarzące się oczy patrzą na północ, gdzie w prastarych formacjach sjenitowych dawnych koryt rzek, gdzieś w niezmierzonej tundrze, pobłyskują kryształki złota.

Całym miastem włada gorączka złota i chęć błyskawicznego wzbogacenia się. Nawet najspokojniejsi stają się skłonni do ryzyka spekulantami, poświęcającymi cały swój dobytek na to, by przez

noc stać się albo milionerem, albo żebrakiem, w zależności od tego, czy będą mieli szczęście znaleźć bogate złoża, czy im go zabraknie.

Straszna choroba – gorączka złota – zaatakowała ich bez wyjątku. Zna ją w każdym kraju, który ma złoża kruszcu. W zależności od warunków posiada wyróżniające ją oblicze. Pod jednym względem objawy pozostają takie same: tworzy się na wskroś dziwaczna społeczność o instynktach i charakterach, które tylko ona potrafi wykształcić.

## 2.

Jednym z najbardziej poważanych przedsiębiorców z Krasnojarska był Iwan Iwanowicz Machow, człowiek, który jeśli pominąć parę z wyróżniających go cech, może służyć za typową postać syberyjskiego poszukiwacza złota. Iwan Iwanowicz Machow liczył sobie około trzydziestu pięciu lat. Był wysokim, jasnym blondynem o małych, przenikliwych oczach, osadzonych w nieproporcjonalnie potężnej głowie. Nad małymi, zaciśniętymi ustami nosił niewielki wąsik tak jasnego koloru, że tylko jeśli przyjrzało się mu dokładnie, udawało się go odróżnić od koloru ciała. Kości żuchwy rzucały się w oczy za sprawą swojej nadzwyczajnej szerokości, twarz była jasnożółta. Tę niezwykłą twarz szeroki kark łączył z potężną, wypukłą klatką piersiową, na której zaplatał długie muskularne ręce. Tułów był za długi, nogi natomiast krótkie, ale mocne jak żelazo.

Machow był nadzwyczaj silny i nieustraszony. Jeżeli wbił sobie coś do głowy, to nic na świecie nie było w stanie odwieść go od przeprowadzenia swojego zamiaru. Nigdy się nie przechwalał, ponieważ w ogóle mówił mało, a swoje kontakty ograniczał do najbardziej koniecznych. Mieszkał zawsze sam, nigdy w hotelu. Zamknięty w sobie jak kryształ sjenitu, żył tylko swoimi rozległymi interesami, które prowadził z ogromną rozważą i niezłomną rzetelnością. Przy tym był życzliwego usposobienia i serca tak miękkiego, jak tylko można sobie wyobrazić.

Przed płcią piękną odczuwał Machow nieprzewyciężoną nieśmiałość. Przypuszczano już na jego serce niejeden atak, ponieważ uchodził za dobrze zapowiadającego się Krezusa. Wiele odważnych matek czyniło użytek ze swojej mądrości, żeby zdobyć go dla swoich córek. Gdy tylko jednak zagadnęła Machowa którakolwiek z dam, od razu salwował się ucieczką, a jego żółta twarz pokrywała się płonąco czerwienią.

Brak umiaru w picciu, jedzeniu i grach hazardowych, właściwy większości syberyjskich wyplukiwaczy złota, nie był cechą, którą posiadałby Iwan Iwanowicz. Przeciwnie, jego wstrzeźliwość stała się przysłowiowa. Jadł i pił tylko wówczas, kiedy odczuwał taką konieczność i miał na to czas, a z zamiłowaniem, korzystał z tego, co wokół siebie znajdował. Od czasu do czasu dawał się namówić na partyjkę wista lub preferansa, ale większość czasu poświęcał na czytanie książek, które jednak ukrywał przed innymi, trzymając w zamknięciu. Ubierał się w prosty sposób, niezależnie od tego, czy trwała zima czy lato, czy było zimno czy ciepło, mokro, czy sucho, zawsze nosił kalosze, nałożone na buty z cholewami. Pozostawał największym abnegatem, jeśli chodzi o modę. Nosił swoje ubrania tak długo, jak tylko się dało. Dopiero kiedy stało się to konieczne, sprawiał sobie nowe, nie posiadał ich jednak nigdy więcej, niż akurat było to potrzebne. Tylko z jednego nie lubił rezygnować: z sobotnich kąpielii w łaźni.

Kiedy poznałem Iwana Iwanowicza Machowa, był właśnie zajęty wyposażaniem dużej liczby wozów w ładunki towarów, ponieważ przejął ich transport do tundry. Pracował wtedy dla większego Towarzystwa Wyplukiwaczy Złota jako administrator. Dopiero później nabył własne kopalnie złota. Całe stosy towarów i pakunków ładowano co dzień na sanie, spisywano, oznaczano, okrywano ochronnymi matami i przewiązywano mocnymi sznurami. Pracowały przy tym setki robotników i ciągle jeszcze zatrudniano nowych.

Dobór siły roboczej wymaga w tych okolicach wyjątkowej siły i rozsądku. Wiadomo, że lepsi robotnicy nie dadzą się za nic namówić do pracy w płukalniach złota, gdzie czeka ich prawie zawsze surowe, niemal barbarzyńskie traktowanie.

Dlatego też do tej pracy udaje się znaleźć wyłącznie najbardziej nikczemną hołotę: włóczęgów, wynędzniałych synów chłopskich lub ułaskawionych pospolitych przestępców, którzy mieli nakaz przesiedlenia. Wielu z tych hultajów zgłaszało się tylko po to, żeby okpić przedsiębiorców. Najpierw każą sobie wypłacić możliwie dużą zaliczkę, a potem usiłują uciec. Nie jest łatwym zadaniem dać sobie radę z tym narodem, ale Machow pokazał, że potrafi temu podołać.

Tym razem ładowanie wozów również przebiegało szybko i dokładnie, zgodnie z wszelkimi zasadami i kiedy Jenisej nadawał się już, żeby po nim jeździć, ekspedycja Machowa okazała się pierwszą gotową do drogi.

3.

W miesiąc po tym, jak wyruszyli jego ludzie, sam wybrał się w drogę. Opatulony w podwójne futro ze skór reniferów, w ciepłych butach z cholewami z lisich ogonów, uzbrojony po zęby, wsiadł do sań, zaprzęzonych w trójkę ognistych koni i popędził. Zamierzał bowiem dogonić swoją ekspedycję.

Zgodnie z jego wyliczeniami musiało to nastąpić tam, gdzie karawany odchodzą od Jeniseju, skręcając na zachód, by dotrzeć do wypłukiwalni złota, które czasem dzielą od siebie setki wiorst, a rozmieszczone są na całym obszarze między Obem a Jenisejem.

Po to, by ułatwić sobie drogę i utrzymać między nimi łączność, przedsiębiorcy dysponują tutaj swego rodzaju prywatną pocztą. W odległości od pięćdziesięciu do stu wiorst między płukalniami złota, w zależności od tego, jak twarda jest zamarznięta powierzchnia Jeniseju, stawia się prymitywne domki, w których podróżujący mogą przenocować i wymienić zmęczone konie. Do zarządzania tymi stacjami zatrudnia się nieustraszonych, trzeźwo myślących i roztropnych mężczyzn, wyłącznie z rodzinami. Zwykle są nimi „brara”, jak nazywa się robotników z kopalń złota, o już sprawdzonym charakterze. Wyposaża się ich we wszystko czego tylko potrzebują do życia oni sami, ich rodziny i zwierzęta domowe. Zaledwie raz na rok dostają prowiant, przywożony im przez ekspedycje, który musi im wystarczyć aż do kolejnego roku, ponieważ na tej nieskończonej pustyni mchów zazwyczaj w zasięgu tysiąca wiorst wokół nie da się nic kupić. Nawet siana dla koni. Łatwo też pojąć, że ludzie ci, całkiem odcięci od świata, z czasem dziczeją i stają się bezużyteczni dla reszty społeczeństwa. Jednak oni sami świetnie się czują ze swoją bezgraniczną wolnością i wkrótce tak mocno przyzwyczajają się do patriarchalnego i dzikiego życia, że niezmiernie trudno przychodzi namówić ich do powrotu do wsi czy miasteczek.

Iwan Iwanowicz jechał dzień i noc, tak jak był do tego przyzwyczajony. Gdy jednak dotarł do ostatniej stacji nad Jenisejem, gdzie spodziewał się dogonić swoje wozy z towarami, ku swojemu wielkiemu zdziwieniu usłyszał, że przejechały tędy już ponad tydzień temu.

Chociaż wyposażył ekspedycję w najlepszych i najpewniejszych przewodników, zrobiło mu się jednak nieprzyjemnie, że pomylił się w obliczeniach. Postanowił więc udać się w dalszą drogę, lecz nie tak, jak zwykle. Obrął szlak, który wiódł przez całkiem mu nieznane okolice. Tą drogą jednak spodziewał się dogonić karawanę najpóź-

niej za trzy dni, gdyż tamci musieli pokonywać drogę bardzo krętą i posuwać się naprzód noga za nogą.

Kiedy tylko wypił herbatę, wsiadł do sań i polecił woźnicy podążać drogą, która prowadziła prosto na zachód. Jednak i tym razem Iwan Iwanowicz miał się pomylić w swoich kalkulacjach.

Ledwie zapadła noc, zerwał się niesamowity wichur z potężną burzą śnieżną, tumanami białego puchu, który zasypał wszystkie drogi, aż nic nie było widać. Konie zanurzone aż po brzuch w śniegu prawie nie mogły iść. Z ogromnym wysiłkiem zdołały posuwać się naprzód krok po kroku.

Minęła bezsenna noc.

Konie wymęczone były do granic wytrzymałości i gdy nad ranem burza nareszcie ustała, dwójka podróżujących zobaczyła, że znajduje się pośrodku niezmiernego oceanu śniegu, nie potrafiąc odnaleźć nawet śladu żadnej drogi i nie wiedząc, gdzie się w końcu znaleźli.

Daremnie wypatrywali jakiegoś domku stacyjnego.

Nic nie było widać.

Chociaż Machow nieraz już był zasypany śniegiem, tym razem czuł się wyjątkowo nieprzyjemnie. W tej smutnej okolicy śnieżna zaspasła się już grobem niejednego nieustraszonego wypłukiwacza złota.

Pomimo to nie tracił zimnej krwi. Robił, co mógł, pozwolił wypocząć koniom, oddał im bochen swojego chleba, podzielił się z woźnicą koniakiem i słoniną. Wreszcie zaś zdecydował, żeby konie szły dalej, gdzie je oczy poniosą, licząc na łut szczęścia.

Burza śnieżna naprawdę już minęła. Tumany śniegu wciąż się jednak unosiły, jeszcze nic nie było widać.

Jechali tak przez trzy dni i trzy noce. Prowiant został zjedzony. Drogi ani śladu. Martwa i zastygła w bezruchu całkiem jak trup – tak wyglądała rozpościerająca się wokół śnieżna pustynia. Zdawało się, że nie zniesie wśród siebie niczego, co żywe.

W końcu – trzeciej nocy, tak około piątej nad ranem – zdało się Machowowi, że w oddali dostrzegł promień światła.

– Tam widać światło – zawołał do woźnicy. – Naprzód.

Wszelkie jednak wysiłki, żeby pogonić mocno zagłodzone konie, na nic się nie zdały. Nie pomogły razy ani przekonywania czy prosby. Konie po prostu nie mogły się ruszyć w tym morzu śniegu.

Iwan Iwanowicz nie zastanawiał się długo. Zdjął z siebie futro, wyskoczył z sań i poszedł, zapadając się aż po pierś w śnieg, w stronę światła.

– Na Boga! To będzie twoja śmierć – krzyczał woźnica.

Machowa nie sposób jednak było powstrzymać, z bezgranicznym trudem parł naprzód i wreszcie po wielogodzinnym wysiłku udało mu się dotrzeć do całkowicie zasypanego przez ostatnią burzę śnieżną, mocno uszkodzonego domku stacyjnego.

Zapukał do małego okienka.

– Kim jesteś? – zapytał z wnętrza stary, ochrypliły głos. – Czy jesteś duchem leśnym, szatanem czy bałwanem?

– Otwieraj wrota! – zawołał Iwan Iwanowicz. – Zasypało mnie. Mój wóz stoi niedaleko stąd. Konie są zupełnie zmordowane i bez pomocy nie wygrzebią się ze śniegu.

Mężczyzna z trudem dał się przekonać. Nie mogło się to zdarzyć tak sobie. Następny domek stacyjny znajdował się w odległości mniej więcej stu wiorst, ekspedycja już przejechała. W jaki sposób więc pojedynczy podróżny mógł dotrzeć w taką śnieżycę aż tutaj?

Gospodarz wreszcie jednak zapalił łuczywo, wziął nabitą flintę do ręki i otworzył wrota.

Machow opowiedział w paru słowach historię podróży. W imię Chrystusa błagał go, żeby sprowadził tutaj woźnicę i konie. Tak też się stało.

Około dziewiątej można było nareszcie zasiąść do herbaty. Gdy Machow usłyszał obietnicę, że dostanie nowe konie i dowiedział się, gdzie teraz jest oraz w jaki sposób może dotrzeć do swoich, położył się na duży piec i zasnął.

Iwan Iwanowicz spał przez całą pozostałą część dnia i nie można go było dobudzić. Dopiero koło północy na mgnienie oka się ocknął. Ciemno było, choć oko wykol, a kiedy wyciągnął przed siebie rękę, żeby się przekonać, gdzie się znajduje – poczuł obok siebie ciało ludzkie.

– Kto to? – zapytał twardo, znowu w półśnie.

– Ja, Masza, córka – odrzekł bardzo delikatny kobiecy głos. – Leż tylko spokojnie i nie rób hałasu.

– Skąd się tutaj wzięłaś? Czego ode mnie chcesz? – zapytał Machow zaspany, nie zdając sobie sprawy, gdzie się właściwie znajduje i co się wokół niego dzieje.

– Pst! Do diabła, milcz – szepnęła. – Chcesz pewnie obudzić starego, żeby mnie przetrzepał? I tak bije mnie prawie codziennie.

Z tymi słowami wsunęła się pod kożuch, którym przykryty był Iwan Iwanowicz...

4.

Następnego ranka burza śnieżna zaczęła się od nowa. Nie dało się ruszyć dalej.

Machow został.

Akurat gdy siedział przy herbacie, do izby nagle weszła dziewczyna. Miała ze szesnaście lat. I usiadła obok niego.

Pomyślał o tym, co – jak mu się wydawało – śnił ostatniej nocy i poczerwieniał na twarzy. Czuł, że dziewczyna na niego patrzy. Spotęowało to tylko jego zakłopotanie. Niespokojnie zaczął się wiercić na swoim miejscu.

Czego od niego chciała? Czy to, co zdarzyło się pod koniec nocy nie okazało się już snem?

Nie powiedziała jednak ani słowa, ani się nie poruszyła. Dlatego odważył się wreszcie spojrzeć na nią z boku i zapytać, kim jest i jak się nazywa.

– Powinieneś to wiedzieć – oznajmiła. – W nocy ci przecież powiedziałam. Czy zapomniałeś już o tym? Jednak to nasz ojciec ma lepszą pamięć!

Iwanowicz zeszywniał. On i jego kobieta, nałożnica! Prawie nie potrafił zrozumieć tej myśli. Dopiero po długim zastanowieniu odważył się ponownie spojrzeć na tę małą. Jej duże czarne oczy ostro się w niego wpatrywały. Znowu pokraśniał, ale im dłużej przyglądał się Maszy, tym bardziej mu się podobała.

5.

Następnego ranka, kiedy burza śnieżna nieco osłabła, postanowił jechać dalej. Przy pożegnaniu wcisnął Maszy do ręki banknot pięćdziesięciorublowy.

– Co to jest? – spytała, gapiąc się na niego ze zdziwieniem.

– To są pieniądze, Maszeńko – odpowiedział. – Jeśli będą tędy przejeżdżać karawany, będziesz mogła sobie za to sporo kupić.

– Kupić? – powiedziała poważnie, oddając mu papier. – Nie chcę sobie nic kupić. Niczego nie potrzebuję.

– Czego więc chcesz? – spytał, zaskoczony wyrazem jej twarzy.

– Chcę, żebyś znowu do mnie przyjechał, abys wrócił do mnie, słyszysz? – odparowała ze świecącymi oczami. – Masza poczeka na ciebie. Twoja Masza musi cię zobaczyć, jeśli nie chce umrzeć!

-----  
-----



Było już późno i starzy poganiali, żeby wyruszyć.

Iwan Iwanowicz odjechał. Jednak przez całą drogę nie potrafił zapomnieć tych czarnych, płonących oczu.

– Ja i jakaś dziewczyna? – rozmyślał. – To niemożliwe. Jak to się stało? Ja! Och! Czym jest człowiek na świecie?

Długo poszukiwał rozwiązania tej zagadki. Długo łamał sobie głowę nad tym, by znaleźć odpowiedź na swoje pytania.

Wreszcie musiał zadowolić się takim wnioskiem:

– Nie wiem tego. Człowiek jest zabawką w grze okoliczności, niczym więcej!

Mnóstwo było pracy. Wymagało to zebrania wszelkich sił, żeby chmury robotników utrzymać w cuglach i zabezpieczyć skarby, które wydobyli. Jeśli trzeba ponosić tak wielką odpowiedzialność, ma się mało czasu na to, aby się zająć własnymi sprawami. Iwan Iwanowicz zwykle wykonywał swoje zadania z taką starannością, że ani jedna minuta nie pozostawała mu na rozmyślanie. Na każdym kroku mimo to dopadało go wspomnienie osobliwej dziewczyny z tundry i często w samym środku wykonywania bardzo ważnej pracy, nagle pojawiała się przed nim postać Maszy, tak prawdziwa, że tylko za sprawą największego natężenia woli zdołał się od niej oderwać. Obraz jej ciągle jednak powracał. I kiedy Iwan Iwanowicz wiedział, że los nie chce mu się poddać, on mu uległ.

Najchętniej pojechałby do niej w drodze powrotnej. Skoro jednak prowadził ekspedycję, składającą się z wielu jucznych koni, a w setkach okratowanych worków znajdował się cały urobek złota z tego sezonu, nie mógł pozwolić na to, żeby robotnicy pomimo eskorty Kozaków wędrowali dalej sami. Dlatego musiał się trzymać utartego szlaku.

## 6.

Z niecierpliwością oczekiwał kolejnej zimy. Wreszcie Jenisej pokrył się znów lodem. Tak szybko, jak okazało się to możliwe wyprawił swoją ekspedycję i kazał się najkrótszą drogą zawieźć prosto do domku Maszy, dokąd przybył kilka tygodni wcześniej, niż zdarzyło się to przed rokiem.

Masza bardzo wyrosła i rozkwitła, wydoroślała nie do poznania. Już przy pierwszych, dających się słyszeć dzwoneczkach dochodzących z sań pospieszyła do drzwi i czekała tam, jakby nie oczekiwała żadnego innego podróżnego poza nim. Na rękę trzymała zdrowe dziecko, o jasnych włosach. Maszę wypełniała radość z powodu przyjazdu Iwana Iwanowicza.

Załomotało mu serce, kiedy na niego spojrzała. Ależ wypiękniała i wyrosła! I jak bardzo dziecko podobne było do niej! Nie powiedział jednak nic i wszedł do domu.

Dopiero kiedy później przyniosła mu jedzenie i usiadła obok niego, trzymając na rękę śpiącą dziewczynkę, zapytał, czy się nie obawiała, że on nie wróci.

– Nie – odpowiedziała zupełnie swobodnie. – Przecież ci mówiłam, że będę na ciebie czekać.

– Ale nawet nie wiedziałas, jak się nazywam?

– Nie, po cóż też? Przecież jesteś ojcem mojego dziecka.

Powiedz mi to teraz, jak się nazywasz?

– Iwan Iwanowicz Machow.

– Tak? Iwan Iwanowicz...

Dziecko obudziło się. Bawiła się z nim i powtarzała wielokrotnie:

– Iwan Iwanowicz.

Machow przypatrywał się jej w milczeniu, całkowicie ogarnięty uczuciem.

– Jak się nazywa mała? – zapytał wreszcie.

– Jakże ma się nazywać? Masza, tak jak ja.

– Masza... Maszeńka – powtarzał sobie cicho Iwan Iwanowicz.

– Ojciec mówi, że pop powinien ją ochrzcić – opowiadała dziewczyna, podczas gdy Machow przyglądał się jej z namysłem. – Dlaczego, nie powiedział. Nie znam się na tym. Pop do nas nie przychodzi, a my nie możemy jechać tak daleko. Zresztą po co? Nazywam ją po prostu Masza, a ona rozumie, mimo że jej pop imienia nie nadał... Nieprawdaż, Maszeńko, moje szczęście jedyne, moje złote?

Przyciągnęła dziecko do piersi i ucałowała.

Iwan Iwanowicz wstał nagle, wziął od niej dziecko i obsypał je niezdatnymi pieszczotami, aż zaczęło płakać.

Tym razem kiedy Machow pojechał dalej, zabrał ze sobą Maszę i małą do kopalni złota, potem zaś do Krasnojarska. Po kilku latach ożenił się z nią i przeprowadził, już jako bogaty właściciel kopalni złota, do Irkucka. Tam półdzika dziewczyna z tundry szybko przemieniła się we wspaniałą damę, która sporą wagę przywiązywała do zasad dobrego tonu, do dobrych manier i potrafiła tak umiejętnie wywiązywać się z roli, jaką grała w towarzystwie, jak gdyby od dziecka ją do tego przysposobiono.

Iwan Iwanowicz Machow pozostał natomiast tym, kim był uprzednio: syberyjskim poszukiwaczem złota oraz filozofem z krwi i kości.

## *Rodzina Strielnikowów*

Jednym z najbardziej gościnnych domów w Irkucku był ten, który należał do kupca i fabrykanta Apolinarego Strielnikowa. Nigdzie nie odbywały się wspanialsze przyjęcia z bardziej wysmienitymi potrawami i lepszymi winami. Uroczystości, które tu organizowano nie powstydziliby się żaden z europejskich salonów. Największym jednak magnesem, przyciągającym do domu Strielnikowów, była piękna żona gospodarza, pełna radości życia gospodyni – Matriona Fadijewna.

Apolinary Karpowicz Strielnikow był synem niezwykle bogatego kupca i właściciela fabryki. Mimo dobrobytu, jego wychowanie pozostawało jednak bardzo mierne. W szkole nauczył się zaledwie najpotrzebniejszych rzeczy, mniej z własnej winy, bardziej za sprawą rodziców.

– Po co nasze jedyne dziecko ma sobie łamać głowę nad tymi błazeństwami? – odpowiedział stary Strielnikow, kiedy go o tę sprawę zapytano. – Niech pan posłucha, jak obchodzono się z tym biednym chłopcem. Moja żona od dłuższego czasu widziała, jak Apolinary Karpowicz zawsze wychodził z pokoju nauczyciela, którego zatrudniłem w naszym domu za namową jednego z przyjaciół, z zapłakanymi oczami. Postanowiłem więc samemu się przekonać, jak odbywa się lekcja. Zakradłem się pod drzwi pokoju, gdzie się ta nauka odbywała i podśluchiwałem.

– Powiedz mi – usłyszałem pytanie nauczyciela. – Przez jakie kraje i miasta będziesz musiał przejść, jeśli zechcesz udać się z Irkucka do Paryża?

Chłopiec oczywiście tego nie wiedział. Ależ się ten głodomór zdenrowował, wprost nie do opisania!

– Ty ośle! – krzyknął do dziecka. – Przez cały tydzień pokazywałem ci to na mapie, a ty ciągle jeszcze nie wiesz?

No, tego było mi trochę za wiele. Wszedłem i rozprawiłem się z tym człowiekiem.

– Niech pan posłucha – powiedziałem. – Dlaczego panu przychodzi do głowy zamęczać mojego syna takimi głupstwami? Jeśli mój syn zapragnie dokądś pojechać, to pośle służącego i każe przygotować list podróżny. Tam już jest napisane, jak podróż powinna przebiegać. Wszystko inne pozostaje sprawą kierującego powozem pocz-

towym. A już iść, to mój syn w ogóle nie będzie, nawet do cerkwi. Dzięki Bogu mamy dość pieniędzy, aby mieć za co jeździć. Pan nie zna się na tym i nie potrzebuje pan już do nas przychodzić – po tych słowach odliczyłem mu pieniądze za cały miesiąc, zabrałem mojego syna i pozostawiłem głodomora samemu sobie.

W takich warunkach edukacja duchowa młodego mężczyzny musiała pozostawać daleko w tyle za jego niewątpliwie znaczniejszymi umiejętnościami. Skoro jednak to, czego się już nauczył, zdaniem ojca wystarczyło, żeby kiedyś przejąć zarządzanie interesem – obie strony były z tego obrotu sprawy zadowolone. Głównie dlatego, że Apolinary Karpowicz od najmłodszych lat był przyzwyczajony ślepo wykonywać wolę ojca. Nie łamał sobie nad tym głowy i – na ile pozwalały zyski z interesu – był wystarczająco wyposażony przez ojca w pieniądze, dzięki którym mógł beztrudno oddawać się skłonnościom wieku młodzieńczego, którym miasto stwarzało nieskończone możliwości.

W rok mniej więcej po śmierci matki, ojciec kazał go wezwać do swego pokoju i oznajmił:

– Apolinary Karpowiczu, chciałbym uwierzyć, że kochasz mnie jako swojego ojca i jesteś przekonany o tym, iż pragnę twojego dobra.

Apolinary słuchał w pozie pełnej szacunku, jak zwyczaj tego wymagał i odpowiedział:

– Ojczulku, daliście mi życie i możecie ze mną zrobić, co zechcecie. Szanuję was, jak polecił Bóg szanować swoich rodziców. Czy coś zawiniłem?

Ojciec uprzejmie poklepał go po ramieniu i z wielkim zadowoleniem powiedział:

– Nie, uchwaj Boże! W żadnym wypadku. Ale widzisz, mój synu, że moja żona, a twoja świętej pamięci matka, zgodnie z wolą Bożą odeszła do nieba, my zaś potrzebujemy kobiety w domu. Jestem już za stary, żeby żenić się po raz drugi. Nie chcę też, by ludzie gadali. Ty jednak wkrótce skończysz 24 lata i życzyłbym sobie, żebyś zawarł związek małżeński. Czy mnie zrozumiałeś?

Apolinary Karpowicz skłonił się i wyszedł.

Mniej więcej po tygodniu kazał się zaanonsować u ojca. Stary siedział przy liczydło.

Apolinary stał w odległości, wyrażającej pełen respekt i czekał, aż ojciec spojrzy na niego i zapyta.

– No więc, Apolinary Karpowiczu, jakie masz życzenia?

– Nakazaliście mi, żebym wstąpił w święty związek małżeński – odpowiedział młody mężczyzna, skłoniwszy głowę aż na piersi w należnym geście posłuszeństwa.

– Oczywiście – potwierdził ojciec. – Czy znalazłeś już jakąś?

– Tak, ojczulku. Jeżeli będziecie skłonni zezwolić, to z pełnym szacunkiem pragnę zakomunikować, że palec Boży mi ją wskazał. Nie ma pieniędzy, a jej rodzice są nisko urodzeni. Jednak jest bardzo ładna, zdrowa i sądzę, że będzie świetnie pasować jako synowa dla was i żona dla mnie. Gdybyście więc nie odmówili nam ojcowskiego błogosławieństwa, moglibyśmy się pobrać i dać naszemu domowi radość oraz przysporzyć porządku i ładu.

Apolinary Karpowicz skłonił się nisko i cofnął z szacunkiem.

Ojciec odpowiedział mu po chwili: – Tak więc? Ona jest ładna? Możesz sobie na to pozwolić, żeby ożenić się z najpiękniejszą. Jesteśmy bogaci i Bóg obdarzył nas wszelkimi dobrami... Jest uboga? Hm... Wszyscy przychodzimy ubodzy na świat, a kiedy umrzemy i tak nic z naszych bogactw nie możemy ze sobą zabrać. Jest niskiego urodzenia? Wszyscy ludzie zrodzili się z tej samej ziemi i do niej też powrócą... Wszystko jedno... Czy mam pojechać i sobie ją obejrzeć?

– Jeśli pozwolicie, każę po nią posłać.

Zawołano woźnicę i zlecono mu pojechać po Matryonę Fadiejewną i zaprosić ją wraz z rodzicami.

Matriona Fadiejewna w całym mieście znana była z urody i pogody ducha. Wszędzie nazywano ją: mewa śmieszka. Bo śmiała się tak jasno, promiennie i słonecznie, że w towarzystwie każdy musiał być radosny.

Rodzice Matryony pochodzili ze wsi, ale niedługo po jej narodzinach przeprowadzili się do miasta, gdzie ojciec najpierw pracował jako dozorca, a później uzyskał posadę woźnego w gimnazjum. Co prawda, nie wzbogacił się na niej. Jednak Matriona Fadiejewna jako jedyna córka wychowywana była lepiej, niż wymagał tego jej skromny stan. Rozpieszczano ją na wszelkie możliwe sposoby. Chodziła w gorsiecie i kapeluszu. Nowinki w modzie śledziła z upodobaniem i zapałem.

Inni również rozpieszczali Matryonę Fadiejewną z powodu jej urody i pogodnego usposobienia. Mężczyźni dosłownie do niej się przymilali. Jej piękna i uprzejma twarz, drobna postać i gracia jej ruchów oczarowały wszystkich, a do tego wносиła w swoje otoczenie coś szczególnego, przez co bardziej zwracała innym w głowach.

Matriona Fadiejewna byłaby wspaniałą dziewczyną – bez jej kokieterii. Zależało jej dosłownie na tym, żeby wabić mężczyzn, więc wszyscy zalecali się do niej, ale żaden nie chciał pojąć jej za żonę.

Jej rodzice już się więc obawiali, że zostanie starą panną, gdy na horyzoncie pojawił się Apolinary Karpowicz, wielki kupiec.

Matriona Fadiejewna nie miała żadnych zastrzeżeń co do tego, że przypadał jej zaszczyt złożenia pierwszej wizyty bogatemu panu, jakim był Strielnikow, chociaż właściwie to ją kupiec powinien odwiedzić. Wręcz przeciwnie, sama o to zabiegała. Przyszła wystrojona świątecznie, w asyście rodziców. Swoim zachowaniem i urokiem wywarła jak najlepsze wrażenie, tak, że stary Strielnikow nie mógł się jej nachwalić i podziwiał dobry gust i wybór syna.

Po kolacji posłano po popa. Zapalono święte świece, zdjęto ze ściany ikonę z Matką Boską, zdobioną bogato szlachetnymi kamieniami, która służyła już czterem pokoleniom przy okazji wszelkich uroczystości w domu Strielnikowów i każdemu ważniejszemu wydarzeniu przydawała splendoru. Następnie młodzi zostali pobłogosławieni pośrodku bogato umeblowanego pokoju, na całkiem nowej otomanie, przy wtórze śpiewu i modlitwy.

Naręczona za pierwszy pocałunek otrzymała piękną biżuterię z brylantami po zmarłej matce Apolinarego, zaś jej rodzice dziesięć tysięcy rubli.

– Dzięki Bogu, stać nas na to – zapewnił przy tej okazji Strielnikow. – A teraz jesteśmy jedną rodziną.

Po sutej kolacji sam oprowadził synową po wszystkich pokojach, ucałował i ogłosił:

– Teraz to wszystko jest twoje. Teraz ty jesteś panią tego domu. Dzięki Bogu, stać nas na to, a ty będziesz z nami dzielić wszystko, czym nas Bóg obdarzył.

Wkrótce wyprawiono huczne wesele. Dom Strielnikowów znowu miał gospodynię.

## 2.

Nawet po ślubie z Matrioną Fadiejewną, Apolinary Karpowicz niewiele w swoim życiu zmienił. Interesy pozostały jego głównym zajęciem, a kiedy został ojcem, poświęcił im wszystkie siły i czas, nie troszcząc się o nic, co nie byłoby z nimi związane. Dyskusje o świecie obmierzły mu i uważał za grzech każdą próbę zmiany utrwalaonych w dzieciństwie poglądów, że Pan Bóg na Niebie, a car na Ziemi są jedynymi, którzy mają prawo rządzić światem i uszczęśliwiać ludzi

lub im szczęście odbierać. Tak jak ojciec, stał się stłumić w sobie każde własne przekonanie, wierny tradycji.

Twardo trzymał się obyczajów, w których go wychowano. Żadna brzytwa nigdy nie dotknęła jego brody, ale każdej soboty po łaźni kazał sobie przycinać równo włosy wzdłuż linii, biegnącej od jednego ucha do drugiego. Potem przychodził jeszcze czas na golenie. O dom troszczył się równie mało, jak kiedyś zwykł czynić jego ojciec. Wedle jego przeświadczenia pozostawało to sprawą kobiety, którą zresztą w tym celu poślubił. Tak jak przedtem nosił spodnie wsunięte w buty z cholewami oraz długi rosyjski płaszcz, i tylko przy nadzwyczajnie uroczystych okazjach, jak bale i przyjęcia organizowane przez żonę, zadawał sobie trud nałożenia odświętnego ubrania lub fraka.

Zresztą kochał swoją żonę, cieszyło go jej powodzenie w towarzystwie. Darzył ją pełnym zaufaniem i pozwalał na zaspokajanie zachcianek, zezwalał na jej wszystkie zainteresowania. Obsypywał ją dowodami dobroci i poświęcał ogromnie dużo uwagi. Skoro pozostawiał jej całkowicie wolną rękę i mogła w domu czynić wszystko, na co miała ochotę, błyskawicznie zgromadził się wokół niej krąg gości, którzy oczarowani jej urokiem z lubością wypijali wina jej męża.

Dalece bardziej niż możliwość oddawania się przyjemnościom zabaw, zdawał się uszczęśliwiać ją fakt, że bogactwo i dobroć męża pozwalały jej zaspokajać potrzebę pobożności, ile tylko dusza zapragnęła. Zawsze była otoczona kilkoma batiuszkami i matiuszkami. Modliła się wraz z nimi, a dobrzy mnisi – braciszczowie i zakonnice – siostrzyczki niezmiernie zachwalali przebywanie w tym bogatym domu. W każde święta przychodzili popi, by odprawiać modły. Latem domowe świąteczne nabożeństwa przenoszono do lasu i spraszano na nie wielu gości.

Żadnemu z pobliskich klasztorów nie odmówiła wizyty, w każdym pozostawała przynajmniej kilka dni. Przed Świętami Wielkanocnymi jechała do Klasztoru Innocentego i pościła tam całe trzy tygodnie. Dla uczczenia jej powrotu zawsze organizowano duże przyjęcie. Goście witali ją życzeniami, za co każdego z nich trzykrotnie całowała w usta.

Nawet wtedy, gdy Matriona Fadijewna została matką wspaniałego chłopca, zachowała ten dziwny sposób bycia i życia. Stała się jeszcze ładniejsza, bardziej kwitnąca, mocniej pobożna i weselsza niż przedtem – ale też bardziej kokieteryjna. Wciąż pozostawała najlepszą, najzwinniejszą tancerką i najpogodniejszą kobietą w Irkucku.

3.

Tak minęło dziesięć lat, w trakcie których nie wydarzyło się nic szczególnego, aż pewnego dnia Apolinarego Karpowicza zaskoczył anonimowy list, który dał mu wiele do myślenia.

Najpierw rzucił to pismo na ziemię, straszliwie nań klnąc i plując, potem jednak, może mniej spokojny niż wcześniej, powrócił do pracy, mrużąc od czasu do czasu pod wąsem niezrozumiałe słowa. Dopiero kiedy skończył, list znów znalazł się w zasięgu jego wzroku. Podbiegł więc i pałając wściekłością oraz głośno złorzecząc, podarł go. Wreszcie jednak podniósł to, co z niego zostało i zamknął na klucz w biurku.

Wychodząc, natknął się w przedpokoju na sługę Fiedię, który podawał mu palto i pomagał się ubierać. Stanowiło to nowość, wprowadzoną przez Matryonę Fadiejewną.

– Fiedia? – upewnił się, nie patrząc na niego. – Czy moja żona jest w domu?

Matriona Fadiejewna zamieszkiwała pokoje na górnym piętrze.

– Jaśnie pani kazała zaprząć kabriolet i pojechała zapewne ze starym mnichem do cerkwi. Odbywa się tam dziś nabożeństwo w intencji świętego Arkadego.

Strielnikow zadowolili się tym, wsiadł do swego powozu i udał się na spotkania w interesach. Ledwie jednak oddalił się o kilka ulic od domu, polecił stangretowi zawrócić i zawieźć się do kościoła farnego.

Przed wejściem do świątyni stało wiele powozów. Przebiegł wzrokiem po wszystkich. Brakowało wśród nich zakrytego kabrioletu.

Wysiadł, gnany przecuciami i wszedł do środka. Niemal mechanicznie spryskał się święconą wodą, skłonił głęboko, podszedł do świętego krzyża, ucałował go, dał na zapalenie kilku świec w intencji świętego Arkadego, wrzucił monetę do puszki i ruszył dalej.

Długo jego wzrok daremnie błędził w poszukiwaniu Matryony Fadiejewny. Serce bolało go, jakby ktoś wetknął w nie nóż. Stopniowo jednak odczuł działanie uroczystej ciszy świętego miejsca na swój nastrój.

– Stoi na pewno na samym przedzie – przekonywał siebie.

– Gdyż znajduje się tutaj z całą pewnością, a tylko ty jej nie widzisz, ponieważ jest taki tłum.

Dalsze przeciskanie się naprzód stało się niemożliwe, więc uspokoił się tą myślą, splunął za siebie i opuścił cerkiew.



– Jaki ze mnie głupiec – myślał sobie. – Skoro w ogóle zwracam uwagę na takie plotki.

Jeszcze raz splunął za siebie i z okrzykiem „oszczerstwo” wsiadł do powozu, zdławił w sobie chęć, żeby ponownie zlustrować pojazdy, stojące przed cerkwią i wyruszył załatwiać interesy.

Kiedy wrócił do domu, spytał Fiedię, czy przez ten czas żona wróciła...

Zanim jednak Fiedia zdążył odpowiedzieć, wybiegła mu w pośpiechu naprzeciw, rzuciła się na szyję, pocałowała i powitała najczulszymi słowami.

Czuł się, jakby za chwilę miało go porazić słońce, tak gwałtownie napłynęła mu krew do głowy. Czy mógł nawet tylko przez mgnienie oka nie ufać tej kobiecie? Wstyd czuł teraz aż w głębi duszy i pozwolił, by Matryona Fadijewna prowadziła go jak dziecko.

Zabrała go ze sobą, poszli do jej pokojów, a potem razem do bawialni syna. Grisza siedział przy swoim stoliku i wycinał święte obrazki z arkusza, który dostał w podarunku w jednym z klasztorów. Gdy spostrzegł ojca, którego bardzo kochał, podskoczył, pobiegł w jego stronę, ucałował serdecznie jego rękę i delikatnie się do niego przytulił. Wiele już nauczył się od matki.

Przywiązany do syna Strielnikow darzył swojego Griszę prawie boską miłością. On, co było jego najskrytszym marzeniem, miał kiedyś osiągnąć wszystko, co jemu samemu nie zostało dane. Miał uczestniczyć w błogosławieństwie wiedzy i oświaty, do którego dostępu jemu samemu zabronili rodzice. Przecież za ich czasów świat był jeszcze inny. Teraz jednak car, niech mu Bóg błogosławi, uwłaszczył chłopów. Już nie stan, w jakim człowiek się rodzi, lecz to, czego się nauczy okazywało się rozstrzygające. Kiedyś byli chłopci i panowie – a chłop musiał pozostać chłopem, choćby zdobył wielkie bogactwa. Teraz wszyscy ludzie byli równi i tylko wykształcenie stanowiło o różnicy. Choćby Purgałow – sąsiad wywodził się z chłopów, a był teraz naczelnym lekarzem sztabowym w randze generała. Dlatego Grisza miał zostać inaczej wychowany niż jego ojciec. Po to, by doszedł do dóbr wyższych niż puste bogactwo. Miał się nie bać własnego zdania i rozwijać własne poglądy na świat. Grisza powinien uczęszczać do szkół, nauczyć się w nich czegoś przydatnego i z Bożą pomocą pójść do Pitra – jak nie tylko w Irkucku familiarnie nazywano Petersburg – na uniwersytet.

Cieszyły go wzruszały pieszczoty jego syna. Zwłaszcza dzisiaj, kiedy sam tak bardzo musiał cierpieć, jak nigdy przedtem w życiu.

Czułość jakby przytłoczyła go, podniósł więc dziecko, przycisnął i całował aż mu po policzkach popłynęły łzy.

– Och, ty mój Grisza! – wykrzykiwał przy tym. – Mój drogi synu! Pewnie, że będziesz pracowity i będziesz się uczył? Sprawisz swojemu ojcu więcej radości niż cokolwiek innego na świecie, niż wszystkie bogactwa, niż... niż...

Przy tych słowach rzucił dziwne spojrzenie, z ukosa na Matryonę Fadiejewną, którą zaskoczyły wylewne czułości jej męża.

– Czym jest szczęście? – ciągnął, gdy postawił znów chłopca na podłodze. – Szczęście? Hm... Jest niczym światło, lekki podmuch... i gaśnie.

-----

Matriona Fadiejewna z początku wcale nie wiedziała, czym wytłumaczyć zachowanie męża. Dopiero kiedy po paru dniach poprosił ją, żeby w przyszłości powiadamiała go, kiedy ma zamiar pójść do cerkwi bądź odwiedzić któryś z klasztorów, wpadła na myśl, że przyczyną zmiany musiało stać się rzucone na nią podejrzenie. Przez jakiś czas starała się – oczywiście nadaremnie – wytropić sprawcę intrygi. Częściej zmieniała posłańców i starała się zachować jak największą ostrożność. Na dłużej jednak okazywało się to nie do zniesienia, bo jej lekkomyślne usposobienie przeważało. Zapominała o tym, co się wydarzyło i powróciła do poprzedniego stylu życia, chociaż nie umknęło jej, że Apolinary Karpowicz od czasu sceny z Griszą stał się wobec niej całkiem inny niż poprzednio, mniej wyjeżdżał, rzadziej spędzał wieczory w klubie. Zauważyła dziwne błyski w jego oczach. Czasami dostrzegała taki wyraz jego twarzy, że sama natychmiast bladła. Pozostawała jednak tak lekkomyślna, że wszystko uznawała za przypadek lub przywidzenie.

Tylko raz, przy stole, kiedy on siedział w melancholijnym nastroju i rozmyślał, zapytała, co mu jest i czy ma jej coś do zarzucenia.

Nie mówiąc ani słowa, ani nie wypuszczając z ręki noża, którym się bawił, spojrział w jej stronę i gapił się na nią wzrokiem tak przenikliwym, aż zerwała się przerażona.

W końcu z niesamowitą siłą wbił nóż głęboko w blat stołu i wyszedł, niespokojnie oglądając się za siebie jak spłoszona hiena.

#### 4.

Począwszy od tego dnia oboje czuli, że coś stanęło między nimi i tylko wspólna miłość do Griszy, który urodą podobny był do matki,

a przez nauczycieli chwalony jako najlepszy i najzdolniejszy uczeń, zapobiegała całkowitemu rozkładowi.

Przed gośćmi odwiedzającymi dom Strielnikowów nie dało się oczywiście ukryć tego nastroju, a ponieważ znali despotyczny charakter Apolinarego, woleli mocno ograniczyć swoje wizyty. Każdy wiedział, że ten olbrzymi mężczyzna potrafił, mimo swojej uprzejmości, objawiającej się w zwykłym spokojnym obcowaniu – w zdenierwowaniu zmienić się we wściekłą, szalejącą bestię.

I tak na przykład, jeszcze w okresie pierwszych lat pożycia małżeńskiego, kupił do sań konia – wspaniałego i nadzwyczaj drogiego. Cenne zwierzę wkrótce bardzo pokochał i starannie pielęgnował. Po pewnym czasie koń, może wskutek nadmiernej o niego troski, stał się samowolny i narowisty, płoszył się przy byle okazji. Pewnego dnia, kiedy Apolinary Karpowicz pojechał wraz z małżonką do miasta po zakupy – koń stanął w miejscu. Jego właściciel próbował przez pierwszych kilka minut słowami, a potem uderzeniami pejcza spowodować, żeby ruszył. Powoli jednak rozpaliała się w nim wściekłość. Zacisnął mocno zęby, wargi nabrzmiały mu jak nieforemna masa, twarz powlekleła się bladością, oczy pobłyskiwały jak niebo w trakcie gwałtownej burzy. Przez cały ten czas nie wypowiedział ani słowa. Raz tylko wydał z siebie ochrypły okrzyk i zaraz wyskoczył z sań, wyciągnął swój nóż i nie zwracając żadnej uwagi na ludzi, gromadzących się wokół, wbił go w serce zwierzęcia.

Swoim pracownikom Strielnikow również czasem demonstrował swój barbarzyński charakter, choć póki mógł, starał się opanować swoją złość. W mieście wiedziano o tym i mówiono, że kiedy jest zły, lepiej nie mieć z nim do czynienia. Jeden po drugim goście zaczęli unikać jego domu i niebawem wspaniałe, okazałe salony Matryiony Fiedorowny, w których przedtem było tak gwarno i wesoło, stały teraz puste i opuszczone.

-----

W tym czasie autor anonimów, który wydawał się śledzić każdy krok Matryiony, nie przerwał prześladowania Apolinarego przy użyciu swojej pisaniny. Częstość pracownicy byli przerażeni widokiem Strielnikowa, kiedy bladej jak trup i ze świecącymi oczami wychodził ze swojego kantorka.

Za każdym razem udawało mu się jednak na tyle opanować wściekłość, że uniknięto przynajmniej skandalu w obecności posłańców. Działo się tak do chwili, gdy Matryiona Fadijewna przyszła do jego pracowni, żeby oznajmić, że zamierza pojechać do klasztoru.

Nie spojrzawszy nawet znad swoich papierów, wykrzyknął do niej:

– Mówię ci, że zostajesz w domu!

Stała jak wryta, ale nie powiedziała ani słowa.

Kiedy po chwili podniósł głowę znad pulpitu, jeszcze ciągle tkwiła przed nim, w tym samym miejscu, gotowa i ubrana do drogi, w palcie, w kokietyrjnym modnym kapelusiku na jasnych włosach, trzymając jedną rękę w sobolowej mufce.

Wstał, mierzając ją przenikliwym spojrzeniem. Matriona Fadiejewna zaczęła płakać. Wściekły zajął z bliska w jej piękną twarz, po której teraz płynęły łzy. Oczy jej zaczęły błyszczeć, a on zagryzał zęby. Szczęki drżały, nabrzmiewały wargi, tak jak wtedy, kiedy zabił swojego pupila, ukochane zwierzę.

Niesamowite uczucie strachu sprawiło, że jej policzki pobladły. Bała się go.

– Zlitujcie się – szeptała drżącym głosem.

– Dla ciebie nie ma zmiłowania – ryczał, uderzając pięścią w pulpit. – Jazda. Nie zrozumiałeś, co powiedziałem?

Przeżrana Matriona zatoczyła się do tyłu, daremnie próbowała złapać się jakiegoś krzesła... Zanim go dosięgła, upadła na ziemię nieprzytomna.

Przez chwilę stał nad nią. Widok jej go nie wzruszył.

Wreszcie przeszedł koło niej, zazgrzytał zębami, mruknął i zatrzasnął z hukiem drzwi za sobą.

– Podła żmija!

Dopiero długo po tym, jak opuścił gabinet, służący odważyli się tam wejść, by podnieść jęczącą i zaprowadzić do jej pokoju.

\* \* \*

Od tego zdarzenia, życie w domu Strielnikowów toczyło się jeszcze bardziej beznadziejnie niż przedtem. Apolinary Karpowicz nawet nie zaszczytał żony jednym spojrzeniem, jakby jej wcale nie było.

Mijali się w milczeniu, nawet przy stole nie zamieniano ani jednego słowa. W kontaktach służbowych stał się tak nieznośny, że większość przyjaciół w interesach zaczęła go unikać, a w domu okazał się prawdziwym tyranem. Nawet noc nie przynosiła mu ukojenia. Całymi godzinami krążył jak drapieżnik po swojej pracowni, a kiedy się wreszcie położył, męczyła go bezsenność.

Matriona Fadiejewna szybko zdążyła się pocieszyć. Całej jej osobowości obcy był ten pośepny, smutny nastrój, więc niemożliwe sta-

ło się, żeby wytrzymała na dłuższą metę taką presję. Z czasem otrząsnęła się z wrażenia, jakie początkowo wywarła na niej niedawna, okropna scena z mężem i zaczęła wykorzystywać okazje, by potajemnie wymykać się z domu.

Dosłownie wykradała się i zakradała z powrotem i podczas, gdy Apolinary Karpowicz zdawał się poddawać bólowi i rozpaczy, ona jakby nigdy nic wesoło poskakiwała w swoich salonach na gorze.

## 5.

W drugiej połowie postu wielkanocnego, Apolinary Karpowicz znów zmienił swoje zachowanie. Stał się bardziej uprzejmy, okazywał więcej zainteresowania i sam zaproponował jej tuż przed świętem wielkanocnym, by wybrała się do klasztoru Innocentego.

Pojechała i wróciła dopiero tuż przed Wielkanocą.

W tym czasie wydawało się, że Apolinary Karpowicz całkowicie doszedł ze sobą do ładu. Jako prawdziwy wyznawca ortodoksyjnej wiary, zanim udał się do spowiedzi wielkanocnej, prosił żonę o przebaczenie. Wśród słabych, niedoskonałych ludzi dzieje się czasem rozmaicie, a przysłowie powiada: przeżyć jedno życie to o wiele więcej, niż obrobić kilka sporych pól. Dlatego niech spróbuje mu wybaczyć wszystko, co się wydarzyło, będzie tak dobra i zapomni.

Matriona Fadiejewna nie była nieprzystępna. Chętnie mu wybaczyła i znowu mogła jak kiedyś odwiedzać klasztory i cerkwie. Przecież spowiednik – batiuszka wyłożył mu, że kto tak żyje, jak jego żona z Bogiem, ten nie może zapominać o swoich obowiązkach. Święty człowiek zarzuty uznał za oszczerstwa, a jemu przecież trzeba wierzyć.

Apolinary Karpowicz również zaczął częściej odwiedzać klub, by zagrać partyjkę winta, rodzaj wista. Stał się znowu bardziej przystępny i zwykle w lepszym humorze. Zaczął nawet nadrabiać zaległości w składaniu wizyt, zabierał ze sobą żonę, wydawał przyjęcia i przy każdej okazji zachowywał się tak, jakby niebo nad małżeńskim szczęściem Strielnikowów znowu było roz pogodzone i jasne.

Głównym powodem jego przemiany był Grisza, który rozwijał się i wyrastał na wspaniałego, okazałego młodziana. Oboje rodzice darzyli go całkiem niebiańską miłością. Niezmiennie był pierwszym uczniem w klasie i wszyscy nauczyciele prześcigali się w pochwałach, odnoszących się do jego ambicji i zdolności. Tym razem również Grisza otrzymał na Wielkanoc znakomite świadectwo i kiedy

Apolinary Karpowicz, który zawsze oczekiwał go z niecierpliwością, nareszcie go zobaczył, radość jego była tak olbrzymia, że wszystko inne poszło w niepamięć.

Czy Matriona Fadiejewna nie kochała tego chłopca? Czy raz po raz nie przytulała go najczulej do piersi, ścisnęła i powtarzała pieszczotliwie:

– Grisza, Griszeńka, szczęście ty nasze, synku nasz najdroższy!

Nie, niemożliwe, by była tak podła! Wszystko, co o niej mówiono, okazało się oszczerstwem. Anonimowy autor listów był podłym łotrem, a Matriona Fadiejewna męczennicą!

## 6.

Szczęście jednak nie trwało długo.

Pewnego dnia, kiedy Matriona Fadiejewna pojechała do klasztoru Kiryłowa, tak jak zapowiedziała – Apolinary Karpowicz otrzymał ponownie anonimowe pismo, kreślone znaną mu już ręką.

Jak tylko rozpoznał charakter pisma, przeszył go dreszcz. Trzęsącą się ręką wziął list i przez chwilę przyglądał mu się niepewnie, potem jednak nie otwierając go, odrzucił daleko od siebie ponad pulpitem na ziemię, wybiegł z pracowni i wyruszył, by składać wizyty w służbowych sprawach. Wrócił dopiero późno w nocy, jak się wydawało mocno podпиты i od razu zasnął.

Następnego dnia służący podczas sprzątania znalazł w pokoju list i ponieważ nie był otwarty, położył go znowu na stole pana, na nie-szczęście zapisaną częścią pod spód.

W ten sposób list, który na pewno powędrowałby do pieca, gdyby Apolinary Karpowicz dostrzegł charakter pisma, został otwarty. Subiekci byli przy tym.

Kiedy jego wzrok padł na treść, zrobił się błydy jak trup, podarł list na strzępy i wykrzyknął ze wszystkich sił, aż wszyscy zadrżeli:

– Suka!

Błyskawicznie pochwycił kapelusz, wybiegł jak wicher do jedno-konki i gnał, popędzając konia uderzeniami bicia.

– Zanoszą się na burzę – szeptali subiekci, którzy popatrzyli za nim z przerażeniem. Potem zebrali większe kawałki listu, zdołali jednak odczytać zaledwie kilka oderwanych słów: „mówię – jesteś – niedorajda – oficer... koń... podarowała... tam... klasztor”.

Tych kilka oderwanych słów wystarczyło, by uzmysłowić subiek-tom wściekłość ich szefa, gdyż to, czego Apolinary Karpowicz miał

się teraz dowiedzieć, było w kantorku od dawna znane. W czasie, gdy oni jeszcze pochylali się nad tym i debatowali, co się wydarzy – na ulicy ze wszystkich stron zbiegli się już ludzie, by zobaczyć jak Apolinary Karpowicz i jego pokrwawiona żona w wielkim nieładzie są prowadzeni do domu.

Niebawem przyszli policjanci, z dyrektorem policji na czele. Później pojawiło się jeszcze kilku adiutantów generalnego gubernatora. Na ulicy mrowił się tłum. Dom został zamknięty. Przyjechali Kozacy na koniach i knutami rozpędzali gromadzących się ludzi.

Lekarz sztabowy zajął dorożkę, wysiadł, błąd jak papier i udał się do pokoiw nieszczęsnych Strielnikówów.

Nadzwyczajne, niesamowite plotki wstrząsnęły miastem. Wszystkich opanowało zdenerwowanie.

– Piękna Matriona Fadiejewna została zamordowana przez Apolinarego Karpowicza – powtarzano.

Oczywiście! Od dawna spodziewano się czegoś podobnego! To bydlę, wściekła bestia, krwiożerczy tygrys! Na cóż zdała się teraz Apolinaremu jego pobożność, wspaniałomyślność i gościnność – aż do późnej nocy tłumy gromadziły się i przeciskały przed jego domem. Ludzie wcale nie zmęczyli się, złorzecząc mu i współczując niewinnej ofierze napadu jego złości. Mimo to nikt nie wiedział nic pewnego i dopiero następnego ranka ogłoszono, jaki był rzeczywisty przebieg wypadków.

W anonimowym liście napisano, że Matriona Fadiejewna wcale nie przebywa w klasztorze, lecz u swego kochanka, oficera. Podarowała mu niedawno drogiego konia, na którym jej amant każdego dnia dumnie paraduje ulicami miasta. U niego Apolinary znajdzie swoją żonę.

Kiedy tam dotarł, ordynans – Kozak, nie chciał Apolinarego wpuścić bez anonsowania. Ten odepchnął go jednak na bok i w sekundę później nieszczęsny mąż stał, trzęsąc się z gniewu i zgryzoty. Przed sobą miał parę kochanków, która w pieszczotliwym objęciu siedziała na otomanie.

– O! To moja śmierć! – zawołała Matriona Fadiejewna, kiedy spostrzegła błyszczące oczy swojego męża. Chciała uciekać, lecz strach ją sparaliżował. Błada z przerażenia zemdląła na otomanie.

Ledwie przez sekundę jej się przyglądał, potem z dzikim krzykiem rzucił się na nią jak tygrys na swoją ofiarę. Oficer usiłował go powstrzymać. Potężne uderzenie pięści powaliło go na ziemię. Kiedy się pozbierał, Strielnikow ciągnąc za sobą żonę za włosy, dotarł już

do ulicy i miał właśnie zamiar umieścić nieprzytomną w powozie. Nagle rozległ się strzał. Oficer, który porwał ze ściany rewolwer, wystrzelił do Apolinarego Karpowicza. Kula trafiła w lewe ramię i przeszła na wylot. Bezgłośnie upadł raniony obok powozu.

Współczujący ludzie podnieśli go wreszcie, położyli obok nieprzytomnej żony i zawieźli oboje do domu.

-----

Minęło wiele tygodni, zanim oboje poczuli się lepiej.

Wtedy rozpoczął się proces, który zakończył się w znamienny sposób: Apolinary Karpowicz uznany został za jedynego winnego, otrzymał nakaz wyprowadzenia się z miasta. Pod karą zakazano mu powrotu, jak długo będzie żyła jego żona. Cały majątek i opiekę nad Griszą przyznano Matronie Fadiejewnie, która za tak salomonowy wyrok była ze wszech miar wdzięczna. Natomiast oficer został przeniesiony nad Amur.

## 7.

Z ciężkim sercem wyprowadził się Apolinary Karpowicz z miasta, jako całkowicie złamany człowiek. Powędrował nad Bajkał, gdzie pomocni przyjaciele zadbali, żeby mógł otworzyć fabrykę, którą swoim nieprzerwanym trudem doprowadził do rozkwitu. Tym, co pocieszało go w nieskończonej zgryzocie i dodawało sił do dalszych czynów, pozostawała myśl o Griszy, który wciąż darzył go drogą mu miłością. Czuł się przywiązany do ojca, gdy uświadamiał sobie wyuzdane zadowolenie matki. Co roku przysyłał Apolinaremu Karpowiczowi swoją fotografię, którą ojciec zawsze oprawiał w piękne ramki, po czym stawiał na biurku, codziennie podziwiał i całował. Najszczęśliwszy był jednak Apolinary Karpowicz, gdy przychodziły świadectwa szkolne Griszy. Syn pozostawał najlepszym i najpilniejszym uczniem w całym gimnazjum. Kiedy Apolinary Karpowicz widział potwierdzenie tego w świadectwach, wystawianych przez nauczycieli, naprawdę szalał z radości. Tak, Grisza był jego pociechą, jego nadzieją – jego życiem.

Nagle na półroczu ostatniego roku szkolnego Griszy, Apolinary Karpowicz otrzymał wiadomość, że Matrona Fadiejewna umarła, po rozdaniu prawie całego majątku klasztorom i roztrwonieniu go z kochankami. Jednocześnie Grisza zapytywał, co teraz ma począć.

– Skończyć studia – odpowiedział ojciec. – I zdać egzaminy. W tym czasie sprzedam fabrykę i razem przeprowadzimy się do Petersburga, na uniwersytet.



Sprzedać fabrykę udało się szybciej, niż się tego spodziewano, a ponieważ także nauczyciele Griszy chcieli swojemu pupilowi umożliwić podróż do Petersburga jeszcze tego lata, postanowili, że zda egzaminy już na święta wielkanocne. Zaraz po załatwieniu interesów Apolinary Karpowicz wyruszył więc w drogę, ledwie potrafiąc poskromić ogromną tęsknotę za synem.

W międzyczasie odbyły się egzaminy i na każdym postoju dalszej podróży Apolinary Karpowicz otrzymywał wiadomości o wynikach. Wszystko przebiegało zgodnie z życzeniami i łatwo sobie wyobrazić, jak szczęśliwy był Apolinary Karpowicz. W osadzie Listwieniszoje czekała nareszcie wiadomość, że Grisza zdał egzaminy oczekuje ojca, by wyruszyć z nim na zachód.

Jakże chętnie pojechałby Apolinary Karpowicz jeszcze tej nocy do Irkucka, żeby wspaniałego, ubóstwianego syna po tak długim rozstaniu znów móc zamknąć w ramionach. Jednak ponieważ ledwie trzymał się na nogach ze zmęczenia, bo nagłe przeżycie niezmiernie go wyczerpało, musiał jeszcze przez noc pozostać w siole Listwieniszoje. Dopiero następnego ranka wyruszył trójką na spotkanie z miastem, gdzie doznał tylu nieszczęść, a które jednak teraz miało mu oddać to, co miało najcenniejszego, jego Griszę.

Mijała dwunasta w południe, kiedy dotarł do pierwszych zabudowań miasta. Kazał woźnicy skrócić w główną ulicę. Wiodła tędy najkrótsza droga do mieszkania Griszy. Ledwie jednak pojechali parę domów dalej, musieli się zatrzymać, żeby przepuścić kondukt żałobny. Apolinary Karpowicz zdjął czapkę, przeżegnał się i pomodlił za pokój zmarłej duszy. Potem znów pełnym kłusem podążali do domu, gdzie Grisza na pewno już się niecierpliwił i czekał na ojca.

Dorożka pocztowa zatrzymała się nareszcie, jej dzwoneczki przez całą drogę pobudzały ciekawość mieszkańców uliczki. Wydawało się, że tylko Grisza ich nie słyszy. Apolinary Karpowicz rozglądał się trochę zaskoczony. Dlaczego Grisza nie przychodził? Czemu nie rzucał mu się na szyję?

Spojrzał w górę... Wszystkie okna w domu były otwarte... Straszne przecucie targnęło jego sercem. Wyskoczył z dorożki i wszedł do środka... Ani jednego człowieka. Nigdzie... Popędził schodami do góry i otworzył drzwi jednego z pokojów... Wokół wszystko pachniało kadzidłem... Jakaś kobieta, zajęta sprzątaniem, wyszła mu naprzeciw.

– Gdzie jest mój syn? Gdzie Grisza, mój jedyny syn? – wołał grzmącym głosem.

– Grigorij Apolinarowicz? – odpowiedziała stara, gapiąc się ze zdziwieniem. – Gdzie miałby być? W drodze do cerkwi. Zdaje się, że pan wcale nie wie, że zmarł nagle na serce? Przedwczoraj? Nauczyciele mają go na sumieniu.

Jak opętany Apolinary Karpowicz zbiegł ze schodów.

– Szybko! Za konduktem, który spotkaliśmy po drodze! Szybciej! – wrzasnął do woźnicy. Wskoczył do dorożki, odtrącił szyjkę butelki z koniakiem i wypił ją jednym tchem do dna.

Woźnica, który po minie podróżnego nie spodziewał się niczego dobrego, z całych sił poganiał konie. Pędziły pełnym galopem.

Apolinary stał w wozie jak słup soli. Jego długa broda i poły futra powiewały na wietrze. Czapka spadła mu gdzieś z głowy.

– Szybciej! Szybciej! Och, mój synu! Griszeńko! Synu mój! – krzyczał ochrypłym głosem raz po raz, wymachując w powietrzu prawą ręką, jakby trzymał w niej bicz, którym chciałby poganiać konie.

Przy końcu głównej ulicy dogonili wreszcie kondukt.

– Zatrzymaj! – krzyknął Apolinary Karpowicz, wytaczając się z sań. – Och, Griszeńko! Synu mój!

W mgnieniu oka wskoczył na karawan.

– Grisza, mój Griszeńko – zawołał znowu, obejmując obiema rękami trumnę.

Kiedy kondukt dotarł do cerkwi, znaleziono Apolinarego Karpowicza, leżącego na trumnie syna. Już nie żył.